

# NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

**Fortuné du Boisgobey.**

Tłumaczył z języka francuskiego K. W.

10

Ciąg dalszy

Zdrada była, ale nie było upadku. Odeta nie upadła, nie sprzeniewierzyła się wierności i uczciwości małżeńskiej. Schodzili się ze sobą jak para narzeczonych i tylko poetyckie uniesienia, serdeczny uścisk dłoni, były tą zdradą, której się dopuszczali. Nawet pocałunek ust ich nie złączył. A jednak teraz pogardzał sobą Saint-Briac, bo dojrzał groźące Odecie nieszczęście. Za wszelką cenę trzeba się pozbyć niebezpieczeństwa, trzeba pozyskać milczenie złoczyńcy. Sam przeciw niemu nie wystąpi, bo Zweimark dokonałby zemsty, groźbę spełniając. Wpadło mu na myśl, że może właśnie Zweimark jest mordercą nieznaną ofiarą, skoro był na wieży, czy pod nią, w czasie katastrofy. Trzeba na niego zwrócić uwagę tych, co mordercy szukają. Więc dowiedział się w sądzie o adresie Meriadeca, na świadka wzywanego i do niego pospieszył.

## IV.

Uderzyła właśnie godzina dziesiąta przed południem, gdy Daubrac ukończył czynności lekarskie w „Hotel Dieu“. Zajęty myślą o wydarzeniach przedwczorajszych, chciał zajrzeć na wieżę, żeby się czegoś nowego dowiedzieć, a może panna Verdier pociągała go w tamtą stronę. W tem zjawia się ona sama, z oczyma zapłakanymi, głęboko wzruszona. Zanim zdołała przemówić, Daubrac zapytał jej niespokojnie:

— Co się pani wydarzyło panno Rozalio?

— Największe nieszczęście! mój ojciec umiera, przyniesiono go właśnie do szpitala. Pan taki dobry, panie doktorze, niech pan spieszy do niego, niech go pan ocali.

Daubrac wybiegł natychmiast, za nim spieszyła nieszczęśliwa dziewczyna. Na końcu korytarza znajdował się duży lokal, w którym na razie umieszczano chorych, przywiezionych z miasta. Przy starym dzwonniku był już lekarz dyżurny. Dzwonnik nie dawał już prawie znaku życia. Lekarze z całym wysiłkiem chcieli go ocalić, ale po kilku minutach Rozalia Verdier została sierotą. Dzwonnik skonał na udar mózgu.

Prerażający krzyk wydarł się z piersi nieszczęśliwej córki i padła omdlona z bólu. Dopiero po upływie godziny ocknęła się i oprzytomniała, przeniesiona do ambulatorium doktora Daubraca. Dzielność charakteru wrodzona, niezwykła siła woli, dźwignęła biedną dziewczynę. Daubrac zbliżył się do niej serdecznie i rzekł z tklivością brata:

— Jeżeli w czemkolwiek mogę się pani przysłużyć, to proszę rozporządzać mną z całym zaufaniem. Przedewszystkiem niech mi pani powie szczerze, ale zupełnie szczerze, jak bratu, co pani zamysła uczynić?

— Pracować, jak dotąd.

— Nie wątpię, ale zapewne pani nie zechce pozostać na wieży?

— Pozostać nawet nie mogę, bo już wczoraj dano memu ojcu dymisy i dziś kazano mu się z wieży wyprowadzić, by się opróżniło miejsce dla nowego dzwonnika. I ten cios właśnie zabił mi ojca. Muszę natychmiast zabrać wszystko z mieszkania co moje i szukać sobie schronienia.

— Gdzież pani tak nagle podzieje całe urządzenie mieszkania?

— Urządzenie! nie mieliśmy żadnego. Wszystkie sprzęty są własnością miejską, a ja mam tylko cośkolwiek ubrań, bielizny, pamiątek po matce, a teraz po ojcu. Całe to mienie moje zmieści się w jednym kuferku. Przenieść się łatwo.

— Ale dokąd? Czy pani zastanowiła się nad tem panno Rozalio, że biorąc mieszkanie, naraża się pani na różne przykrości i niebezpieczeństwa? Pani musi mieszkać pod jakąś opieką.

— To nie możliwe, bo nie mam teraz nikogo, prócz Boga.

— I prócz serdecznego przyjaciela. Niech mi pani zaufa. Wprawdzie mało się znamy, ale mimo tego mogła się pani przekonać, że nie byłbym zdolny do nadużycia zaufania kobiety.

— Ufam panu, panie doktorze, ale cóż pan może dla mnie uczynić?

— Zaopiekować się panią, jak siostrą. Przede wszystkim chciałbym pani zapewnić ojcowską o-

piekę. Jeden z moich dobrych znajomych mógłby pani użyczyć u siebie mieszkania.

— Panie doktorze, nie mów pan tak, to mi sprawia wielką przykrość, a zwłaszcza, że pan to mówi.

— Panno Rozalio! — proszę pamiętać, że mówię jak brat do siostry. Temu znajomemu, o którym mówię, oddałbym własną siostrę pod opiekę. Jest to człowiek prawy, szlachetny, który sobie poniekąd wziął za cel życia ochraniać słabe istoty od tego złego, co na nie czyha, być strażnikiem cnoty, a walczyć ze wszelką niegodziwością. Jestto baron Meriadec. Zajmuje obszerny dom z osobnym pawilonem, w którym mieszka zarządczyni jego domu, osoba w poważnym wieku, uczciwa, stateczna, najwierniejsza długoletnia sługa barona, oddana mu całą duszą; mogłabyś pani podzielić z nią mieszkanie i urządzić sobie w niem pracownię.

— Lecz jakim prawem? z jakiego tytułu?

— O to niech się pani nie troszczy, ani nie pyta. Baron uczyni to nie dla pani, lecz dla mnie. Jest moim serdecznym przyjacielem, więc mogę żądać od niego tej przysługi, bez ubliżenia sobie i pani.

Sierota spojrzała na doktora długim, przeciągłym wzrokiem, jakby mu chciała zajrzeć do głębi duszy i zapytać: „Dlaczego ty się mną tak zajmujesz?“ Nastąpiła chwila milczenia, Daubrac zrozumiał to pytanie wzroku, wyciągnął rękę ku Rozalii i rzekł tklivo.

— Wszak jestem ci bratem, panno Rozalio i niczem, tylko bratem. Znam panią dobrze, wyznam szczerze, że cię śledziłem, badałem tok twego życia i powziąłem dla ciebie cześć prawdziwą. Dziś, u zwłok twojego ojca wyrażam ci uczucia braterskie, a kiedyś, później poproszę...

I znowu nastąpiła chwila milczenia. Sierota zarumieniła się, łzy spłynęły jej z oczu.

Daubrac ponownie wyciągnął ku niej rękę:

— Mówię z panią bardzo poważnie, z wielką rozważą, a z głębi serca. Ufaj mi pani i usłuchaj mojej rady. Przyjm schronienie u barona Meriadec.

— Wierzę panu i zastosuję się do pańskiego życzenia.

— Dziękuję pani. Proszę pozwolić, że poślę służącego za panią po rzeczy. Niech pani pożegna tyloletnią siedzibę i zabierze wszystko, co pani miłe, a ja tymczasem poczynię zarządzenia do ostatniej usługi ojcu.

Rozalia wyciągnęła obie ręce ku doktorowi, uścisnęła je serdecznie i rzekła ze łzami:

— Zaczny pan jesteś, panie doktorze. Niech ci Bóg nagrodzi.

W dwie godziny potem jechał doktor z panną Verdier na ulicę Cassette. Panna Verdier była zamysłona, nieśmiała i złamana bólem sierocym. Daubrac wiedział dobrze, że daremne bywają wszelkie słowa pociechy, że raczej rozdzierają rany, niż je zblizniają, więc nie silił się nawet na pocieszanie sieroty, a natomiast odrywał ją od rozpaczliwych myśli rozwijaniem planów na przyszłość. Po kilkunastu minutach zatrzymała się dorożka przed domem barona.

Meriadec rozmawiał z malarzem i naradzali się właśnie nad tem, jakby wysledzić owego niegodziwca, który im uszedł. Szasza rozmawiał w przyległym pokoju z innym gościem barona. Był to malarz Kosiński, Polak z Warszawy, dobry znajomy Fabrequette'a. Fabrequette dowiedziawszy się, że Kosiński mówi biegle po rosyjsku, sprowadził go do barona, aby przyjemność sprawić Szaszy. Istotnie uradował się Szasza niezmiernie, gdy usłyszał mowę ojczystą. Rzucił się Polakowi na szyję z radością, ożywił się bardzo i mówił, mówił bez końca, jakby się chciał wygadać w ojczystej mowie za ten cały czas, przez który jej nie słyszał.

— Mikołaj Trofimowicz mówił mi raz o tem, że Polacy mieli własne wojsko i że nasi wojsko polskie pobili, ale powiedział przy tem, że to Prusacy do tego naszych zmusili. On mi nieraz opowiadał, że wszystko złe na świecie dzieje się przez Prusaków, bo oni chcieliby wszystkich Słowian opanować i dlatego ich kłócą pomiędzy sobą.

— Prawdę powiedział Mikołaj Trofimowicz, ale to jeszcze nie wszystko, co o tem powiedzieć potrzeba. Człowiek uczciwy, nie da się nawet szatanowi nakłonić do złego. Ale nie po to ja tu przyszedłem, żebyśmy o takich rzeczach mówili, bo młodzieńki jesteś i niczemu nie zaradzisz.

— Przecież wyrosną kiedyś.

— Teraz mój kochany panie Szasza — mówmy o przyjemniejszych rzeczach.

— Czyż może być dla mnie co przyjemnego, gdy nie wiem, co się dzieje z moją mamą. Ojczym ucieka przedemną: on coś złego mamie wyrządził.

Żeby mógł znaleźć mamę moją! Możeby pan na to poradził, pan taki dobry.

— Wszyscy będziemy się o to starali, a tymczasem trzeba się pocieszać tem, że masz koło siebie najlepszych przyjaciół i chociażby nawet matki ci zabrakło, nie brakłoby ci opieki uczciwych serc ludzkich.

Nagle drzwi się otwały i wpadł Fabrequette.

— Przestańcież już rozczulać się ze sobą po rosyjsku, a chodźcie do nas. Mam gości.

Nie czekając odpowiedzi, porwał jedną ręką Kosińskiego, a drugą Szaszę i wyciągnął ich do przyległego pokoju. Tu już zastali Daubrac i Rozalię. Doktor opowiedział baronowi o nieszczęściu Rozalii i o propozycji, którą jej imieniem barona uczynił. Meriadec wyciągnął ku niej rękę przyjacielsko i rzekł z nadzwyczajną uprzejmością i szczerze uradowany:

— Ależ to prawdziwie zrzęczenie Opatrzności, że pani była łaskawa zgodzić się na propozycję mego przyjaciela. Łamałem sobie głowę nad tem, skąd wziąć opiekunki dla sieroty. Będę najszczęśliwszy, jeżeli pani zechce łaskawie być dla niego starszą siostrą, zastąpić mu matkę.

I opowiedział Meriadec całą historję, jak Szasza dostał się pod jego opiekę. Rozalii bardzo się ta myśl spodobała; sierota zapagnęła nieść ulgę drugiej sierocie, bo jej się zdało, że przez to samo dozna ulgi w cierpieniu.

— Dziękuję pani za pomoc i zaraz przedstawie pupilkę.

Wtedy to Fabrequette zerwał się z miejsca i sprowadził Szaszę i Kosińskiego z przyległego pokoju.

— Mój kochany przyjacielu — rzekł Meriadec do Szaszy — panna de Verdier jest tak łaskawą, że chce być twoją towarzyszką i opiekunką, jeżeli na to pozwolisz.

Szasza spojrzał na Rozalię śmiało i przenikliwie, uklonił się jej uprzejmie i rzekł z naiwnością dziecięcą:

— Pani mi się bardzo podoba. Pani jest bardzo piękna i dobra, widać z twarzy. Nie mam siostrzyczki. Nie raz widziałem, jak w sąsiedztwie naszym, różnym chłopcom dobrze było z siostrzyczkami. Bardzo im zazdrościłem, a teraz już i ja będę miał siostrę. Niechże mi pani mówi „ty“, jak braciśzkowi.

Meriadec ucieszył się bardzo tą wielką sympatią, jaką Szasza powziął dla Rozalii. Dziecko zyskało stałą opiekunkę, a Meriadec zyskał teraz zupełną swobodę do czynienia poszukiwań. Przybyła też zarządczyni domu barona, aby się przedstawić nowej lokatorce i ofiarować jej swoje usługi. Rozalia udała się z nią do pawillonu, aby się tam urządzić, a Szasza pospieszył za nią, uradowany niezmiernie z pozyskania takiej opiekunki.

Baron, doktor, Fabrequette i Kosiński układali teraz w dalszym ciągu najrozmaitsze plany, jak pochwycić podejrzanego ojczyma sieroty i co uczynić z dzieckiem, bez uciekania się do interwencji policyi. Chcieli biednemu chłopcu oszczędzić tych wrażeń, jakichby doznawać musiał, gdyby go wzięto do biurokratycznego śledztwa.

— Matki mu nie wskrzesimy — rzekł Meriadec — ale przynajmniej pomścimy jej śmierć.

Rozmowę przerwało dzwonicie, za chwilę słyszający przyniósł list i podał baronowi.

— Kapitan St. Briac — przeczytał Meriadec. — Prosić — rzekł do służącego.

Wszystkich ogarnęło zdziwienie. Wszedł kapitan.

— Chciałem pomówić słów kilka z panem baronem, a jeżeli pan w tej chwili zajęty, pozwoli pan może odpowiedzieć się innym razem.

— Rozmawiamy właśnie o sprawie, która może i pana zainteresuje. Mimowoli wyrządziliśmy panu wielką przykrość, przyczyniając się do pańskiego aresztowania. Ta przykra nadzwyczajnie pomyłka pochodzi atoli jedynie z winy niedołężnej policyi, a my pragniemy wynagrodzić panu wyrządzoną przykrość, przez ujęcie zbrodniarza. Jeżeli zamiary nasze pana interesują, będę prawdziwie wdzięczny, gdy pan w naszych naradach udział przyjął zechce.

— Bardzo chętnie, zwłaszcza, że po to do pana przybyłem, aby szukać pomocy w zdemaskowaniu podejrzanego człowieka.

— W takim razie możemy powitać w panu, panie kapitanie, nowego sprzymierzeńca. Doktor D'Aubrac, malarz Fabrequette, malarz Kosiński. Prócz pana Kosińskiego, byliśmy już panu po części znani.

(Ciąg dalszy nastąpi).